

Będąc dzieckiem, jak każdy mały chłopiec bawiłem się żołnierzami. Jednak przeciwieństwie do moich rówieśników, nie bawiłem się w wojnę, tylko w sady polowe i plutony egzekucyjne. Później zafascynowałem się samobójstwami. Każdego dnia wieszałem jedną zabawkę na sznurku, aż w końcu mój pokój wypełnił się wisielcami. Wisielcy zawsze podobali mi się najbardziej.

Przez lata miałem samobójczą obsesję. Uwielbiałem pedantycznie planować swoją śmierć i kładłem się spać myśląc o sposobach w jakich mógłbym odejść z tego świata. W końcu, będąc już dorosłym, postanowiłem spełnić swoje marzenie. Wstałem rano z uśmiechem na ustach. Wypiłem przepyszną kawę, na jaką nie stać przeciętnego Kowalskiego. Po najsmaczniejszym śniadaniu w moim życiu, wypilem bardzo drogie wino, wciągnąłem kokainę i słuchałem mojego ulubionego zespołu. Po obejrzeniu moich ulubionych filmów jakimi były „Pulp fiction” i „Reservoir dogs” założyłem garnitur, do którego sam krawat kosztował kilka tysięcy złotych i wybrałem się na obiad do restauracji. Oczywiście najlepszej w Białymstoku. Owoce morza, starsze ode mnie francuskie wino, którego nazwy nie dałbym rady wymówić. Było przepysznie, ale tu nie chodziło o jakość. Mógłbym się założyć, że nawet gdybym pił wino marki „Patyk” z rocznika „wtorek” i jadł zapiekankę z Tesco, byłoby równie przepysznie, a to dlatego, że mój nastrój był wspaniały. Gdy orkiestra skończyła grać dla mnie „Tą ostatnią niedzielę...” zostawiłem w restauracji całą swą miesięczną wypłatę i pojechałem do hotelu. Najlepszego, a jakże! I to taksówką, a nie zatłoczonym autobusem.

Do hotelowego pokoju zamówiłem ekskluzywną prostytutkę. Wypróbowaliśmy tyle pozycji i zabaw wszelakich ile tylko się dało i po trzech godzinach wypuściłem ją, płacąc sownie. Później nadszedł czas na ostatni posiłek skazańca. Bardzo wyśmienity, tak przy okazji. Ale najlepsze było dopiero przede mną. Na gramofon wrzuciłem płytę pewnej francuskiej śpiewaczki i powoli zacząłem przygotowywać linę.

Jedyna rzecz, która nie podobała mi się w wisielcach to to, że puszczają im zwieracze. Dlatego wsadziłem sobie w odbyty wtyczkę analną. W końcu wszystko musiało być idealnie.

Wszedłem na krzesło, założyłem pętlę na szyję i nagle ogarnął mnie jakiś żal. Żal, że samobójstwo można popełnić tylko raz. I że nie będę mógł popatrzeć na moje wiszące ciało. Niestety, było już za późno, żeby się wycofać. Wydałem zarówno wszystkie swoje oszczędności jak i pieniądze, które wzięłem na kredyt. Dnia poprzedniego zwyzywałem swojego szefa, więc i do pracy nie mogłem już wrócić. Wtem przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł. I tak zostałem seryjnym samobójcą...

\*\*\*

Czekałem w limuzynie aż pani Szejman skończy się zabawiać z młodymi chłopcami. Patrzyłem niecierpliwie na zegarek. Już niedługo zacznie się przedstawienie w teatrze, a musiałem dać sporą łapówkę, żeby zorganizować specjalnie dla niej „Hamleta”. No, ale jak to się mówi: nasz klient, nasz pan.

Staruszka w końcu wyszła, chichocząc jak młoda, nieśmiała dziewczuszka. Wybrała chłopca, który podobał jej się najbardziej i razem z nim wsiadła do limuzyny. Wiedziała, że jej koleżankom oczy zbieleją jak przyjedzie do teatru takim autem i to z takim młodzianem. Zawiozłem ich na miejsce, a później czekałem. Przedstawienie trwało, a ja byłem odpowiedzią na hamletowe pytanie. Czekałem cierpliwie, bo co się odwlecze, to się nie uciecze, a ja byłem Kostuchą mającą cały czas tego świata.

Najlepszy w życiu wieczór pani Szejman dobiegał końca. Zostawiła chłopca pod teatrem dając mu przy tym hojny napiwek i wsiadła do limuzyny, którą ja, niczym Charon zabrałem ją w podróż na drugą stronę.

Staruszka nuciała i z uśmiechem wpatrywała się w szybę samochodu. W odbiciu przeleciało jej całe życie. Ten skrócony film zaprowadził ją do chwili obecnej i teraz przez szybę widziała jedynie miasto, w którym spędziła niemal całe życie. Tu przeżyła dzieciństwo, pierwszą i drugą miłość, okupację, powstanie w gettcie, komunę, „Syjonistów do Syjonu”, oraz „Polskę dla Polaków”. Bóle starości i samotności to jednak było dla niej za wiele.

- To był dobry dzień, prawda? – spytałem.

- Jeśli nie potrafisz wskrzesić zmarłych i zwrócić mi mej młodości utraconej, to lepszy ten dzień już być nie mógł.

- I nie żal pani...?

- Nie. Lepiej umrzeć pod koniec dobrego dnia, niż przez kilka następnych dni żałować, że się nie umarło. – Mówiła patrząc na wystające z torebki opakowanie silnych leków przeciwbólowych. - Lepiej odejść zadowolonym, że się trochę pożyło, niż srając w pieluchy dla dorosłych i przeklinając ten świat i własną matkę za to, że na ten świat nas wydała.

Zgodziłem się z nią. Tak tylko zapytałem z ciekawości, gdyż nawet gdyby się rozmyśliła, nic by to nie zmieniło. Czasem się zdarzało, że klient podczas ostatniego dnia na tym padole łez i rozpaczy dowiadywał się, że to życie jednak wcale nie jest takie złe.

Krzyczeli, że chcą żyć, że zmienili zdanie, że nie chcą umierać. Raz jeden klient, który miał za sobą kilka prób samobójczych, tak się chwycił życia rękami i nogami, tak walczył o każdy oddech, że musiałem mu te ręce i nogi połamać i za pomocą liny kupionej po promocji w Leroy Merlin odciąć dopływ tlenu. Bo podpisaliśmy kontrakt.

Nie był to cyrograf pisany krwią. Ja w przeciwieństwie do Diabła nie chciałem czyjejs duszy. Zobowiązywałem się zorganizować to i owo dla klienta, w zamian za jego śmierć. Oczywiście były jeszcze pieniądze, ale pieniądze nie grały roli. Gdybym się wycenił według usług, to na moje usługi byłoby stać chyba jedynie milionerów. Zbawienia nie mogę zagwarantować (co zawsze podkreślałam w umowie! Żadnych ukrytych kruczków!), ale dokładałem wszelkich starań, by odpowiednio zaopiekować się i dopomóc duszy klienta. Full serwis.

Pani Szejman postanowiła utrudnić mi zadanie, bo postanowiła odejść za pomocą „złotego strzału”. Chciała sprawdzić co te dzieci z dworca ZOO w tym widzą, nie zabijając się przy tym na raty, tylko raz i konkretnie. Utrudniało mi to zadanie w taki sposób, że dusza człowieka, który umarł będąc otumaniony, jest trochę przytępawa i może nie trafić tam gdzie trzeba. No i oczywiście może być bezbronna wobec wszelakich złych bytów.

Co prawda pani Szejman uważała że jedyne piekło jest tu na Ziemi i jako Żydowka wierzyła jedynie w Szeol, to jednak musiałem połączyć rytuały żydowskie z chrześcijańskimi. Muszę się pospieszyć, bo pani Szejman przestaje drgać...

\*\*\*

Samochód sunął pustymi ulicami Białegostoku, a ja choć powinienem skupić się na kierownicy, myślami byłem gdzieś daleko, wśród wszelakich traktatów filozoficznych i teologicznych. Wtem ujrzałem ją, samotną postać stojącą na dachu bloku. Szybko skręciłem i zaparkowałem pod owym blokiem. Osiedle było puste, miasto pogrążone w śnie i nawet wiatr hulał gdzieś indziej za swoimi sprawami. Byłem jedynie ja i postać zadająca sobie hamletowe pytanie. Być może robiła to z powodu jakichś głupot, a może z powodu spraw nad którymi większość ludzi nigdy się nawet nie zastanawiała. Może zadawała sobie pytania, na które nie znajdziesz żadnej odpowiedzi, a prędzej zwariujesz. Nie pamiętam ile to już lat minęło od czasów, gdy byłem taki jak on i zaplatałem linę w hotelowym pokoju.

Nie krzyczałem „dawaj, skacz!”. Nie dzwoniłem też po policję, strażaków, czy pogotowie. To musiała być wyłącznie jego decyzja. Ja byłem jedynie biernym obserwatorem i świadkiem czegoś pięknego.

A jednak poleciał. Nie wiem, czy był to Ikar, marzyciel, czy zwykły frajer i desperat. Poleciał ku wieczności i odwiecznym tajemnicom. Jego ciało zaś wylądowało na samochodzie. Na szczęście nie moim.

Śmierć ogółem to dla mnie piękno absolutne, ale ja jestem artystą i czasem muszę poprawić jakiś szczegół. Założyłem rękawiczki i lekko zmieniłem u chłopaka położenie ręki, zamknąłem jedno oko, poczekałem chwilę aż więcej krwi wycieknie mu z ust i zrobiłem zdjęcie. Bezcenne. Unikatowe dzieło sztuki. Czysty realizm, choć w niektórych przypadkach ciała wyglądają isticie kubistycznie.

\*\*\*

Odkąd obcuje ze śmiercią, każde śniadanie smakuje mi tak, jakby to było ostatnie śniadanie w moim życiu. Tak samo jak kawa, którą popijałem czytując prasę. Pewien polityk się powiesił. Jeżeli to naprawdę było samobójstwo, niech żałuje, że nie wynajął mnie. Sprawiałbym, że z martwego polityka stałby się legendą. A jeszcze większą legendę mógłbym uczynić z Kurta Cobaina, czy Witkacego. Ale dość tych marzeń. Poranek powoli mijał, a ja miałem pracę do wykonania. Pan hrabia już dzwonił, że mu się lelki pod domem zbierają.

Najpierw jednak pojechałem na pocztę. Otworzyłem swoją skrzynkę, z której wyciągnąłem trzy koperty. Przejrzałem je w samochodzie. Jedna była od emerytki, której nie starcza na leki, chciałaby już umrzeć, ale nie potrafi tego zrobić. Drugi przypadek był tragiczny. Jakiś literat o nazwisku Horsztyński, sprzedał Diabłu duszę za talent i chciałby się jakoś wywinąć z kontraktu. Niestety nic nie mogłem zrobić w tym przypadku. Trzecia koperta zaś była od 300-letniego wampira, który miał już dość nieśmiertelności. To może być ciekawe. Ale teraz muszę lecieć, bo pan hrabia czeka...

Jak niektórym wiadomo, lelki zbierają się, gdy ktoś ma umrzeć. Nie mam pojęcia, po co im ludzka dusza, ale jeżeli po śmierci człowieka odlecą, to znaczy, że nie udało im się jej złapać. Jeżeli zaś wybuchną swoim lelkowym śpiewem, który przypomina śmiech, to znaczy, że złapali duszę zmarłego. Ale ja przecież jestem full service i od razu wyciągnąłem z bagażnika sprzęt odstraszający ptaki. Już moja w tym głowa, żeby zająć się panem hrabią i jego duszą.

W ostatnich dniach swego życia, pan hrabia bardzo zainteresował się ars bene moriendi, czyli sztuką dobrego umierania. Ludzie w średniowieczu często wierzyli, że to nieważne, że ktoś całe życie przeżył jako łajdak, jeżeli umarł dobrą śmiercią. Pan hrabia oczywiście za młodu nie był święty, za kołnierz nie wylewał i żadnej pannie nie prze-

puszczał. Ale teraz chciał umrzeć śmiercią, jaką uznał za stosowną. I pogodził się z Bogiem, choć ostatniego namaszczenia nie chciał i wyraził się bardzo wulgarnie na temat księży.

Zastałem go w jego pokoju, gdzie drzemał na łóżku z baldachimem. Sprawiałby wrażenie martwego, gdyby nie to, że raz na jakiś brał głęboki wdech. Jakby chwycił się życia ostatkami sił. Obudziłem go delikatnie.

- Ach, to ty, mój kacie, moja kostucho. - Otworzył powoli swe błękitne oczy, w których zachował się cień młodości i kontrastowały z pomarszczoną twarzą. - Zalałeś już wannę gorącą wodą?

- Jeszcze nie, panie hrabio.

- To dobrze. Nie zalewaj.

- Jak to? Więc nie chce pan odejść jak starożytni Rzymianie, podcinając sobie żyły w wannie z gorącą wodą, by śmierć była mniej bolesna?

- Ty byś mi podciął żyły, kacie mój niemiłosierny. Po pierwsze ręce mi się za bardzo by trzęsły, a po drugie, i najważniejsze!, samobójstwo to przecież grzech najstraszniejszy.

- Ależ oczywiście.

- Nie. Nie... Chcę zginąć w pojedynku. Tak. Będziemy się pojedynkować. W ogrodzie.

Zanim doszliśmy do ogrodu, pan hrabia opowiedział mi, z kim to się nie pojedynkował, o jakie to damy swego serca walczył, które kiedy przyszło co do czego, nie były warte nawet kopiejki, chociaż zachowywały się jakby były warte kufer złotych, carskich sturubłówek.

Zdążyłem wysłuchać bardzo wiele, bo droga do ogrodu zajęła mi szmat czasu. W końcu jednak stanęliśmy w ogrodzie, a pan hrabia drżącą ręką ujął rękojeść szabli. Z trudem ją uniósł i wziął ślamazarny zamach. Bez trudu się obroniłem, potem pozwoliłem mu sparować kilka moich ciosów, po czym zakończyłem sprawę szybko, chcąc oszczędzić wstydu panu hrabiemu. Zsalutowałem mu szablą i pozacierałem wszystkie ślady mojej bytności. Chciałbym zdążyć na obiad, więc co prędzej pojechałem pod adres jaki następny zainteresowany zostawił na kopercie. Ulica Wysockiego, cmentarz prawosławny, miejsce numer 243, krypta rodziny Miklaszewiczów...

\*\*\*

Pan Władek z melancholijnym uśmiechem kosił trawnik. Gdy w końcu zauważył, że robota skończona, westchnął. Gładząc obfitego wąsa, rozglądał się, czy na pewno niczego nie pominął, gdy zauważył swojego pracodawcę.

- Panie Wojciechu! Można na słówko?

- A, witam panie Władku – uśmiechnąłem się serdecznie. - Oczywiście.

- Chciałbym porozmawiać z panem w sprawie pracy. Bardzo długo nad tym myślałem i...

- Zaraz, zaraz. Chyba nie chce pan zrezygnować?

Pan Władek zaśmiał się rubasznie jak to miał w zwyczaju.

- Ależ skąd. Nic nie raduje mnie bardziej niż obecna fucha. Rzecz w tym, że chciałbym zająć się tym na pełny etat, że tak powiem. No, ale do sedna. Tym razem, to ja bym chciał zaoferować panu pracę.

- Tak?

- Tak, na stanowisku Kostuchy.

Uniosłem drwiąco brew, ale zaraz spoważniałem. Przypomniało mi się, że nie takie rzeczy już się widziało.

- A jak to się stało, że ktoś taki jak pan, w wolnym czasie dorabia w moim ogrodzie? Jeśli oczywiście można wiedzieć.

Pan Waldek wyciągnął ekstra mocne bez filtra. Odpalił papierosa zapałką po czym nostalgicznie westchnął, wypuszczając z płuc tłusty dym. No przynajmniej teraz wiedziałem, że pan Władek raka nie musi się obawiać.

- Ta praca nie różni się wiele od mojego stałego stanowiska. Patrzą jak rośliny rosną od nasionka, czasem wrywam chwasty, czasem muszę ściąć jakiś piękny kwiat. A czasem koszę całe trawniki, choć wojny czy dobrej epidemii od jakiegoś czasu już nie było. I tak to jakoś leci, panie. Od wiosny do zimy. Tylko że tak jak wy jesteście roślinami jednorocznymi, ja jestem jak roślina długoletnia. Widziałem już wiele wiosen i wiele zim. Już mi się znudziło. No i praca z roślinami wydaje mi się bardziej relaksująca i mnie

dołącząca niż z ludźmi. Niestety nie mogę zrezygnować, dopóki nie znajdę kogoś na swoje miejsce. Dlatego znając pańskie zainteresowania, myślałem, że może być pan zainteresowany.

- Jak pan powiedział, wszystko ma swoją kolej rzeczy. Jak pory roku. Jak pory dnia. Dziękuję bardzo za propozycję, ale urodziłem się człowiekiem i człowiekiem chcę umrzeć – uśmiechnąłem się ciepło. - Mimo że pańska propozycja wydaje mi się kusząca, wydaje mi się również istną udręką. Mógłbym wtedy smakować śmierć mnóstwa istot, ale sam śmierci nigdy bym nie zaznał. Nie dotarłbym do celu, który został mi wyznaczony wraz z chwilą poczęcia i nie odkryłbym tej wielkiej tajemnicy życia, na którą odpowiedź znajduje się na końcu drogi... A być może to wcale nie jest koniec drogi, a jedynie jeden z przystanków. Choć niektórzy może uznaliby mnie za potwora, prawda jest taka że, proszę mi wybaczyć banalność, człowiekiem jestem i nic co ludzkie nie jest mi obce. Postanowiłem czerpać przyjemność z różnych ludzkich przyjemności, chcę przeżyć wszystko co może przeżyć człowiek, od rzeczy wspaniałych po okropne i łamiące serce, a później, gdy nadejdzie jesień, oczekiwać śmierci jak starego przyjaciela. I byłbym zaszczycony, gdyby to pan, panie Waldku po mnie przyszedł. A tak przy okazji, to skoro skończył pan już z tym trawnikiem, to proszę mi załatwić kołek z drzewa cisowego i świeżą krew baranka.

\*\*\*

Za zaliczkę, którą dostałem w złocie, kupiłem memu klientowi garnitur i teraz wyglądał iście dostojnie. Bo widok jaki zastałem w krypcie był całkiem żalospny. Manicurzystka również miała sporo roboty z jego paznokciami, które na pierwszy rzut oka ciężko było nazwać ludzkimi.

Żadna prostytutka nie przyszłaby do cmentarnej krypty, więc wynająłem hotelowy pokój, do którego sprowadziłem dwie sikoreczki. W żyłach blondynki i brunetki płynęła kokaina i trochę alkoholu, tak jak zażyczył sobie klient.

Obydwie były już dawno wysuszone do ostatniej kropelki, a ja i Jan Eliaz Miklaszewicz staliśmy na dachu i czekaliśmy na wschód słońca. Dla niego był to pierwszy świt od trzystu lat. I ostatni.

Słońce by go nie zabiło, lecz mogłoby go poparzyć tak, że potrzebowałby roku by dojść do siebie. I tu wkraczałem ja. Gdy ból zaczął dominować nad doznaniem estetycznym,

wbiłem mu cisowy kołek zanurzony w krwi baranka.

- Być... albo nie być... - rzekł słabo, lecz z zawadiackim uśmiechem. - Prawda? - Puścił do mnie oko i odszedł. Niestety nie mam pojęcia gdzie.

Hamletowskie pytanie. To zabawne, że ludzie interpretują je jako życie, albo śmierć, istnienie lub nie istnienie. Ale nie na tym polega ta zabawa. Śmierć czeka nas wszystkich i choć można oszukiwać jak pan Miklaszewicz, w końcu przyjdzie po ciebie niezbyt ponury zniwiarz, który w wolnym czasie pielęgnuje ogród i grabi liście. Nie, rzecz w tym, jak zamierzasz przeżyć swe życie, „jak ścierpieć pogardę i zniewagi świata”. Być, znaczy przyjmować je na klatę, iść z podniesionym czołem i płynąć pod prąd zamiast z prądem, jak martwe ryby. Pomimo kłód rzucanych pod nogi, wiatru w oczy i chuja w dupie iść przed siebie. Mieć wpływ na rzeczywistość i zmieniać ją, zamiast poddawać się jej biernie, jak bardzo zła by nie była. Bo być biernym, to jak w ogóle nie być. Być biernym to chować się pod parasolem kiedy los na ciebie pluje i chodzić na czworakach kiedy podstawia ci nogi. Jeść, pić, srać, pracować, spać to wegetacja, a nie życie, a wegetacja jest dla roślin. Nasz świat jest zły, żyjemy w beznadziejnym uniwersum, po złej stronie galaktyki. Możemy się temu podporządkować mówiąc „i tak przecież nic nie mogę zmienić” i wiesz co? Rzeczywiście nic się nie zmieni. Możemy też BYĆ i odcisnąć swoje piętno na tym świecie. Każdy najdrobniejszy dobry uczynek zmienia rzeczywistość na lepsze.

Z zamyślenia wyrwał mnie telefon, a dzwonek „Always look on the bright side of life” wystraszył gołębie.

- Już wstałaś? Tak kochanie, już niedługo będę wracał, więc mogę zawieźć dzieciaki do szkoły...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

EdwardH, dodano 20.03.2016 12:54

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).